GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 1 LUTEGO 1939 R.

Nr. 3 ROK IX

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 3

1939 R.

1 — II

BRONISŁAW ZIEMSKI

BANK POLSKI W NOWEJ SZACIE

Zwięzły komunikat niedzielny, odsłaniający dyskretnie szereg przeobrażeń, jakim ulegnie wkrótce statut Banku Polskiego, wywołał żywe echo w stołecznej opinii publicznej; echo to znalazło natychmiastowy wyraz w debatach kawiarnianych — gdzie warszawski światek wyżywa się intelektualnie i uczuciowo — oraz we wstępnych artykułach wtorkowych wydań prasy codziennej.

Byłoby przesadą mniemać, że zmiany statutu Banku Polskiego są — jako takie — ewenementem zdolnym zapłodnić twórczo zarówno naszą elitę kawiarnianą, jak również speców gospodarczych w redakcjach pism politycznych. Zmiany te stanowiły niemal tradycyjny punkt programu dorocznych, konwencjonalnych, zebrań akcjonariuszów Banku Polskiego, stanowiąc przedmiot zainteresowania tylko dla nader szczupłego grona osób. Nie należy się więc zbytnio dziwić, że dziennikarskie tuzy ekonomiczne przez cały poniedziałek badały podejrzliwie i krytycznie wspomniany na wstępie komunikat zanim zdecydowały się, że temat wart jest ich pióra. A skoro wart jest ich pióra, bezpieczniej będzie i nam pójść ich śladem, rezerwując sobie jedynie prawo zastąpienia niekontrolowanej fantazji mniej efektowną analizą tekstów.

Stwierdzić wypada na wstępie, że władze naszego banku biletowego — podobnie, jak w latach ubiegłych — nie dokonały jakiegoś skoku w (radosne) nieznane, lecz przeciwnie usiłowały tylko znaleźć właściwe ramy dla swej działalności, opartej na odczuwanych konkretnie potrzebach życia. Nie sposób przypisywać projektowanej nowelizacji statutu charakteru rewolucyjnych zmian, zawrócenia z dotychczasowych dróg, ruszenia z martwego punktu... Tak samo zresztą jak nie ruszył z martwego punktu przy omawianiu tych zmian p. J. W-l. — jeśli chodzi o ścisłość wywodów jego i podawanych informacyj (vide Kurier Poranny z 7 lutego rb.).

Komunikat niedzielny wyraźnie podkreśla, a — co ważniejsze — bliższa analiza tezę tę potwierdza, że uchwała Rady Banku zmierza do uporządkowania rynku pieniężnego i pozostaje w związku z likwidacją procesów kryzysowych i pokryzysowych oraz ma na celu dostosowanie działalności Banku do obecnej rozwojowej tendencji gospodarczej Polski. Tak więc zamierzenia Banku idą w kierunku uporządkowania istniejącego stanu rzeczy oraz stworzenia odpowiednich ram dla potrzeb naszego życia tak, jak się one obecnie rysują.

Przepisy o pokryciu kruszcowym nie wytrzymały wrześniowej próby życia, wobec tego Rada Banku postanowiła już w październiku r. ub. zmienić je. W kredytach Banku uczestniczyły w poważnej mierze banki państwowe, przy czem część tych kredytów — obracanych na pomoc finansową dla rolnictwa oraz na inwestycje — stała w ścisłym związku z akcją państwową; charakter tych kredytów był zupełnie specjalny i z istoty swej dłużej-terminowy, należało więc kredyty powyższe wyodrębnić i unormować ich likwidację. Istniejące przepisy statutowe w odniesieniu do tzw. pokrycia bankowego zawierały normy oparte na potrzebach i warunkach istniejących w gospodarce polskiej przed szeregiem lat. Przepisy te musiałyby ulec zmianie już choćby ze względu na wyżej przytoczone przeobrażenia statutu, ponadto jednak należało je dostosować do wymogów dnia dzisiejszego. I tu więc poczynione zostały poprawki.

Korelatem nadania przywileju emisyjnego bankowi jest niemal zawsze i wszędzie przyznanie przez bank nowych kredytów państwu; nie jest też zbiegiem

okoliczności zestawienie w komunikacie oficjalnym wiadomości o przedłużeniu przywileju emisyjnego Banku Polskiego o lat dziesięć z drugą wiadomością o podwyższeniu kredytu bezprocentowego dla Skarbu Państwa o 50 mln. zł. Jedno i drugie świadczenie dotyczy czasów przyszłych, gdyż ani Bank Polski nie był obecnie narażony na utratę przywileju wygasającego w 1944 roku, ani też Skarb Państwa nie stał wobec perspektywy wyczerpania się kontyngentu kredytowego wyzyskanego zaledwie w 45%. Powyższe świadczenia wzajemne Skarbu Państwa i Banku mają być podwyższone w stosunku do obecnych norm o połowę.

Po tym krótkim przeglądzie najważniejszych zmian o jakich wspomina komunikat, przejdźmy do poszczególnych przepisów celem wyłuskania z nich istotnych elementów.

Dotychczas obieg biletów bankowych oraz suma natychmiast płatnych zobowiązań Banku, przekraczająca 100 milionów złotych, miały być pokryte conajmniej w wysokości 30% zapasem złota. „Miały być", ale nie zawsze były, gdyż np. w końcu września r. ub. pokrycie wyniosło 26.84%, a w końcu tegoż roku — w okresie spokoju na rynku — 28.59%. Obecnie obowiązujący statut przewidywał wprawdzie takie wypadki, ale obwarowywał je pewnymi rygorami, które nie zostały — i słusznie — zastosowane w praktyce. Tak więc życie zrobiło wyłom w przepisach, które z kolei mają być podporządkowane wymogom rzeczywistości. Zamiast sztywnego kontyngentu fiduciarnego (w sensie zupełnego braku pokrycia kruszcem) w wysokości 100 mln. zł zostanie wprowadzony bardziej elastyczny kontyngent w granicach 800 — 1200 mln. zł, natomiast nadwyżka ma być pokryta złotem nie w 30% a w 40%, bez możności legalnego zejścia poniżej tej granicy. Nie znając cyfr bilansowych Banku nie sposób było by orzec, który system jest elastyczniejszy. Teoretycznie biorąc dotychczasowe przepisy pozwalały na większe zmiany w pokryciu, a co za tem idzie także i w emisji banknotów, ale — również tylko teoretycznie — kosztem podwyżki stopy dyskontowej i płacenia przez Bank podatku. Przechodząc na grunt praktyczny, t. zn. uwzględniając bilansowy zapas złota Banku i niecelowość podwyższania stopy w razie spadku pokrycia, można stwierdzić, że nowe przepisy dają Bankowi na razie większą swobodę działania. Rezerwa Emisyjna Banku wyrażałaby się w obecnych warunkach maksymalną kwotą około 700 mln. zł, a nie — jak tego chce wróg ścisłego rachunku, pan J. W-l — sumą ponad jeden miliard złotych.

Przechodząc do drugiej strony bilansu Banku, do jego aktywów, które będą stanowiły podkład emisji banknotów, stwierdzimy wiele symptomatycznych zmian. Ponieważ z portfelu wekslowego Banku wyłączono poważną jego część (wspomniana uprzednio konsolidacja kredytów specjalnych), jak również w związku z faktem, że weksel stał się w latach ostatnich mniej stosowanym instrumentem obrotu kredytowego aniżeli w okresie przedkryzysowym, nie sposób było utrzymać w mocy zasady, by wszystkie niemal formy kredytów Banku były ograniczone stanem jego portfelu wekslowego. Ponadto konieczne było zakreślenie takich ram, które by odpowiadały zwiększonym możliwościom emisyjnym Banku. W rezultacie więc rozszerzono znacznie wszystkie postacie kredytów, prócz oczywiście dyskonta weksli, niepodlegającego kontyngentowaniu. Z uwagi na to portfel wekslowy w przyszłych bilansach Banku przybierze skromniejsze niż dotychczas rozmiary w zestawieniu z innemi pozycjami kredytowemi, ulegając natomiast pewnemu upłynnieniu i „uprywatnieniu". Zapowiadane przedłużenie terminu płatności sezonowych weksli rolniczych z sześciu do dziewięciu miesięcy ma znaczenie raczej dla polityki rolnej niż finansowej; stanowi ono dalsze podkreślenie potrzeby odmiennego traktowania kredytów dla rolnictwa, aniżeli dla innych form produkcji lub obrotu.

Z faktem powiększenia możliwości emisyjnych Banku rozszerzenia ram tych form kredytu, które są najlepiej przystosowane do finansowania działalności inwestycyjnej Państwa, powiązały prasa i sfery giełdowe przewidywania co do przyszłej polityki Rządu i Banku. Przewidywania u jednych zabarwione obawą, u innych nadzieją, żeby nie powiedzieć — entuzjazmem — niemniej co do swej treści jednolite: wkraczamy na drogę inflancji.

Na tle tych objawów nasuwa się kilka uwag natury zasadniczej. Bank Polski stanowiąc rezerwowe i ostatnie — choć bynajmniej nie jedyne — źródło kredytów w kraju, dążył i zapewne nadal będzie dążył do zachowania należytej ostrożności i umiaru w swej polityce. Fakt posiadania rezerw nie dawał dotychczas władzom Banku asumptu do ich drenowania w okresie, gdy na rynku pieniężnym nie występowała ciasnota, tak, jak brak statutowych rezerw (abstrahując od możliwości, jakie dawał art. 52 statutu) nie przeszkodził Bankowi przyjść z pomocą rynkowi, gdy zaszła tego potrzeba. Nie ma na razie podstaw do twierdzenia, że kierownicy naszej polityki pieniężnej wraz ze zmianą statutu Banku zmodyfikują radykalnie linię swego postępowania, a dopiero taka modyfikacja wniosłaby naprawdę nowe elementy do naszego życia gospodarczego. Polityka Rządu i władz Banku z jednej strony, a sytuacja rynku pieniężnego z drugiej strony — oto są właściwi dysponenci naszego banku biletowego. Statut Banku w rękach tych mocarzy gra rolę zaledwie pokornego sługi.

Rozwój sytuacji na rynku pieniężnym jest zależny od zbyt wielu imponderabiliów, by dawał się ująć w karby ścisłych przewidywań, wystarczy więc stwierdzić, że stan obecny jest niezły i nie ulegnie trwałym zmianom wskutek nowelizacji statutu Banku Polskiego. Stanowisko kierowników polityki pieniężnej sprecyzowane zostało we wstępnych liniach wspomnianego parokrotnie oficjalnego komunikatu; mowa tam jest — w odniesieniu do przyszłości — o dostosowaniu działalności instytucyj finansowych do obecnej rozwojowej tendencji gospodarczej w Polsce oraz o wysiłkach, mających na celu wzmocnienie zaufania do struktury aparatu kredytowego. Pierwsze z tych zamierzeń nie wymaga, drugie zaś wprost nie dopuszcza inflacji. Nie należy więc upatrywać w komunikacie ukrytej wędki na kieszeń obywatela.

Tekst komunikatu budzi natomiast krytyczne refleksje, jeśli chodzi o ustęp, wspominający o wzorach zagranicznych, które przyświecały autorom zmian statutu. Niewątpliwie techniczne przepisy o pokryciu

kruszcowym wykazują analogię z normami, jakie znajdujemy w statutach banków biletowych Anglii, Finlandii, Norwegii i Szwecji, jak również nie ulega wątpliwości, że polityka walutowa tych krajów cieszy się zaufaniem nie tylko własnych obywateli, lecz również i zagranicy. Nie wchodząc zupełnie w ocenę takich czy innych systemów polityki walutowej, należy niemniej — w imię prawdy — stwierdzić, że system panujący w przytoczonych wyżej krajach radykalnie się różni od tego, jaki ma zastosowanie u nas. Projektowane zmiany statutu nie stanowią ani konfirmacji, ani też negacji naszej polityki walutowej, której legalne ramy zakreśla ustawa monetarna.

ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI

SŁOWO MACKIEWICZA I SZTAFETA CZYNÓW

U c z e ń:
Przy słowach jednak musi być pojęcie.
M e f i s t o f e l e s:
Być może; lecz się trudzić nie trza zbyt zawzięcie.
Albowiem właśnie gdy pojęć nie stanie,
Wraz s ł o w o stawia się na zawołanie.

Panu Stanisławowi Mackiewiczowi nie podobała się książka Melchjora Wańkowicza p. t. „Sztafeta". Nie podobała się — bo jest optymistyczna. Jako wzorowy konserwatysta i piszący dla konserwatystów p. Cat nawiązuje do dawnych czasów, do antenatów, rozstawia M. Wańkowiczowi po kątach jego stryjów i ubolewa, że o to skarlały potomek sławnych przodków nie poszedł w ich ślady.

Artykuł p. Mackiewicza jest zatytułowany „Stryj i siotrzeniec herbu Lis". (Jak stryj, to nie siostrzeniec a synowiec, względnie bratanek, ale mniejsza z tem). Otóż ten stryj — „p. Stanisław był pesymistą a p. Melchjor jest... optymistą".

Dowiadujemy się przy tem, że ów pesymista „pisał z werwą i wesołością, z tą nutą szlacheckiej krotochwili".

Tak jest proszę panów — z werwą i wesołością. Bo Polska to dziwny kraj — to kraj w którym jest dużo ponurych, rozgoryczonych optymistów i jeszcze więcej wesołych krotochwilnych pesymistów [1]). W Polsce optymiści zdzierają swoje zdrowie i swe siły w walce z oporem żywej i martwej rzeczywistości, z własnym sceptycyzmem i słabością, wyrzekają się nieraz osobistego życia i szczęścia, umierają często złamani walką, z rozpaczą w sercu, z troską o losy rozpoczętego a niedokończonego dzieła. A tymczasem pesymiści, pełni witalnej, biologicznej żywotności „wesoło z werwą z tą nutą szlacheckiej krotochwili" krytykują ich pracę, ośmieszają ich walkę, poniewierają ich nadzieję, ich wiarę, ich miłość. Zaiste „patriotyzm pesymistów jest innego gatunku" — jak pisze i p. Cat. Ten osobliwy patriotyzm pesymistów złamał życie wielu twórczym ludziom, zmarnował moc wysiłków, skazał na bezpłodność tyle wielkich poczynań. Przecież to ten patriotyzm pesymistów, te dzieje optymistów stworzyły tak specyficzną atmosferę kultury polskiej, w której zrodziła się twórczość Żeromskiego. Bohaterowie Żeromskiego to wszystko optymiści: Judym, Nienaski, Siłaczka, żołnierz Tułacz, to wszystko ludzie, którzy podejmowali walkę i pracę wierząc, iż coś pozytywnego osiągną.

No, ale wróćmy do p. Stanisława Wańkowicza. kto on był, co zdziałał, że go p. Mackiewicz za wzór stawia p. Melchjorowi, wyrodnemu potomkowi znakomitego stryja. Z cytowanego artykułu dowiadujemy się, że był „prezesem Związku Ziemian (z dużej litery — przyp. nasz) współpracownikiem „Słowa", który wypowiadał się tak ujemnie o polskim systemie skarbowym, o gospodarce państwa polskiego (z małej litery — przyp. nasz).

Z tego by wynikało, że cała jego działalność streszczała się do tego, że „wypowiadał się ujemnie", a cała zasługa, że „był pesymistą". Zasługa ta w przekonaniu p. Mackiewicza snać jest bardzo wielką, bo pisze: „Sztafeta" (Wańkowicza) to wielki hymn pochwalny na cześć prawie wszystkiego co się w Polsce dzieje.

Słowo pozostało wierne jednemu ze swoich założycieli ś. p. Stanisławowi Wańkowiczowi i jest... pesymistyczne. „Melchjor Wańkowicz jest *przeciwieństwem „Słowa"*. My i on stoimy na dwuch biegunach. My idziemy drogą naszego założyciela, zrzędy i pesymisty, a on świetlaną drogą Grabskich i Kwiatkowskich" (Horribile dictu! — co za upadek).

Sprawa jest postawiona jasno. Melchjor Wańkowicz napisał książkę o idącej przez dzieje Polski Sztafecie optymistów. Pan Cat-Mackiewicz stwierdza istnienie Sztafety pesymistów i stwierdza expressis verbis, że przejął pesymistyczną pałeczkę sztafetową po Stanisławie Wańkowiczu.

Pan Cat opowiada o wesołym i krotochwilnym incydencie jak p. St. Wańkowicz, który był antagonistą Władysława Grabskiego, zdarł z niego surdut, usiłuje mu udaremnić zabranie głosu na posiedzeniu w Dumie rosyjskiej. Pan hrabia Korwin Milewski w swoich pamiętnikach opowiada jednak znacznie ciekawszy incydent, ilustrujący głęboki pesymizm St. Wańkowicza. Mianowicie, gdy podczas jego przemówienia w tejże Dumie jakiś czarnoseciniec rzucił szy-

[1]) P. Melchjor Wańkowicz akurat nie jest typem polskiego optymisty. Wprost przeciwnie — z kompleksji jest podobny do pesymistów i stąd właśnie płynie to rozgoryczenie p. Mackiewicza w stosunku do jego osoby.

derczy „cwiszenruf" o niepodległości Polski, St. Wańkowicz przerwał przemówienie i oświadczył: „My na tej sprawie postawiliśmy krzyż".

— — — — — — — —

„Młodzieży polska! patrz na ten krzyż" [1]).

— — — — — — — —

Po tym incydencie w roku 1911 p. St. Wańkowicz, przepadł w wyborach do Rady Państwa (Gosudarstwiennyj sowiet.). Wyborcami do tej instytucji była tylko szlachta. Szlachta ówczesna nie aprobowała tak dalece posuniętego pesymizmu. Po wojnie wybrała go jednak na preseza Związu Ziemian (Zbłąkanym braciom otworzym serca. Winę ich zmyje wolności chrzest!).

Człowiek, który był tak dalece zasłużony w pesymizmie, że aż stawiał krzyż na sprawie niepodległości, pisał „wesoło z tą nutą szlacheckiej krotochwili". A w tym samym mniej więcej czasie w 1908 r. inny człowiek pisał do Ignacego Daszyńskiego:

„Walczę i umrę jedynie dlatego, że w wychodku, jakim jest nasze życie, żyć nie mogę, to ubliża — ubbliża mi jako człowiekowi z godnością nie niewolniczą... Chcę zwyciężyć, a bez walki i to walki na ostre, jestem nie zagajnikiem nawet, a wprost bydlęciem, okładanym kijem czy nahajką... Chcę właśnie sobą... podkreślić tę gorzką prawdę, że w społeczeństwie, które walczyć nie umie, które cofa się przed każdym batem spadającym na twarz, ludzie ginąć muszą nawet w tem, co nie jest szczytnem, pięknem i wielkiem"... [2]).

Jakże daleki od wesołości i krotochwili jest ton tej enuncjacji Wielkiego Optymisty, który porwał się z motyką na słońce i zwyciężył! A po zwycięstwie przeciwnicy polityczni nazywali go ponurym lokatorem Belwederu.

W kilka lat potem, jak założyciel Słowa i twórca pesymistycznej tradycji tego pisma postawił krzyż na niepodległości Polski 163 licho uzbrojonych optymistów i 7 koni przekroczyło granicę zaborczą. Potem było ich więcej, potem jeszcze więcej. Krzyże stawiali oni także, i to często gęsto — na mogiłach swych towarzyszy. I mimo to trwali w optymiźmie. Ja bardzo bym nie chciał dotknąć uczuć rodzinnych zarówno p. Melchjora jak i innych członków rodziny Wańkowiczów, ale naprawdę — te 7 koni-optymistów, „abstrahując" nawet od ich jeźdźców, wywarło większy wpływ na bieg historii Polski i Europy niż pesymistyczni założyciele „Słowa". Ich słowo nie stało się ciałem, widać było tylko czczą gadaniną, bo jak powiada Stan. Brzozowski [3]): „słowo, które naprawdę jest słowem ciałem się stanie".

Słowo staje się ciałem jedynie przez akt twórczy— przez czyn. Polska stała się ciałem ze *słowa* optymistów po przez ich *czyn*. Tą samą drogą będzie rosła i rozwijała się dalej. *To jest pewne*. Taka jest *wiara* optymistów, a z nimi i Melchjora Wańkowicza.

Tu dochodzimy do sedna sprawy — do określenia postawy życiowej, typu psychicznego ludzi reprezentujących dwie biegunowo sobie przeciwne sztafety w dziejach Narodu Polskiego.

Pan Mackiewicz żonglując pojęciami pesymizm optymizm wywołuje wrażenie, że używa słów, których nie rozumie i diatego jego argumentacja prowadzi do niedorzecznych wniosków. Gdyby tak przyjąć jego kryterium podziału ludzi na pesymistów i optymistów i umieścić obok siebie np. szczupłą, nerwową, asteniczną sylwetkę wice-premiera Kwiatkowskiego i tęgą, zaokrągloną, tryskającą nadmiarem krwi i energii witalnej postać Mackiewicza z napisem, że pierwszy, to właśnie zadowolony ze wszystkiego i siebie optymista, a drugi, to pogrążony w czarnej rozpaczy i beznadziejności pesymista, to jakaś dbała o swą linię dama, też mało wyznająca się w znaczeniu obcych wyrazów pomyślałaby, że są to nazwy medykamentów, że przez zażywanie zwiększonych dawek optymizmu wice-premier Kwiatkowski chce utyć, a pesymizm stosuje Mackiewicz na schudnięcie. No i obserwując obu na przestrzeni kilku lat słusznie doszłaby do wniosku, że te medykamenty to jakiś szwindel aptekarski.

W istocie rzeczy chodzi o ludzi zajmujących postawę czynną, ludzi, którzy dążą do jakiegoś celu, w coś wierzą, — wierzą, że drogą określonych wysiłków cel osiągną oraz tych drugich ludzi, którzy albo nie mają wiary w skuteczność wysiłków, albo nie mają siły do pracy lub walki, albo dobrze im jest tak jak jest, więc są przeciwni zmianom. A jeśli zmiany wbrew ich woli zachodzą, to odnoszą się do nich pesymistycznie, bo nie spodziewają się po nich nic dobrego dla *siebie*. Ci, których p. Mackiewicz nazywa optymistami wcale nie są wiecznie zadowoleni ze siebie i ze wszystkiego na około jak on twierdzi. Gdyby tak było, to po co dążyliby do zmian, po co mieliby się trudzić i walczyć? Istota rzeczy właśnie polega na tem, że rzeczywistość ich nie zadowalnia, martwi, że jest dla nich nieraz wstrętna i ohydna. Ale wierzą, że tę rzeczywistość można zmienić.

Ci, których p. Mackiewicz nazywa pesymistami, jak p. St. Wańkowicz, to byli ludzie zupełnie zadowoleni z istniejącej rzeczywistości, a zwłaszcza ze siebie i chcieli tę rzeczywistość konserwować. Dla nich np. czasy niewoli nie były śmierdzącym wychodkiem lecz różarnią, względnie fabryką perfum. Więc stawiali krzyż na dążeniach do zmian; byli weseli, krotochwilni i używali do woli rozkoszy życia. Prawdziwi pesymiści, którzy nie wierzyli w możność zmiany a równocześnie nie mogli rzeczywistości znieść — strzelali sobie w łeb, lub dostawali pomieszania zmysłów. Działalność publicystyczna, analogiczna do tej jaką uprawia „Słowo", niewątpliwie sprzyjała takim zakończeniom procesów psychicznych poszczególnych wrażliwych a słabych jednostek. Jeśli potraktujemy jednostki w oderwaniu od społecznego podłoża, to zajrzawszy do wnętrza psychiki ludzi, których p. M. zalicza do wiecznie zadowolonych ze siebie i ze wszystkiego naokoło optymistów, można będzie często znaleźć neurastenię, kompleks niższości i utajone nieza-

---

[1]) Józef Piłsudski. Pisma, mowy, rozkazy, t. II, str. 309 i 310.

[2]) Józef Piłsudski. Pisma, mowy, rozkazy, t. II, str. 309 i 310.

[3]) Nawiasem mówiąc jeden z najtragiczniejszych optymistów przedwojennej doby.

dowolenie z życia. Ludzie tego typu o ile są obdarzeni silną wolą, potrzebują działania, jak powietrza i wody, bo tylko poprzez pracę, poprzez jej realne, namacalne wyniki przekonywują siebie codzień na nowo o swej wartości i utwierdzają się w przekonaniu, że bądź co bądź warto żyć. Naodwrót u t. zw. pesymistów można na dnie duszy znaleźć tak wysokie mniemanie o sobie, że wszystko co jest poza nimi wydaje się im głupie i złe, lecz zadowolenie ze siebie samych jest u tego typu psychicznego tak wielkie, że czuje się on na świecie doskonale, krytykując wszystkich i wszystko.

Najbardziej klasycznym reprezentantem tego typu jest p. Władysław Studnicki — widzi on dookoła siebie samych idiotów i durniów, na wysokich stanowiskach państwowych widzi szkodników, prowadzących, w jego przekonaniu, kraj do zguby. Ze wszystkich jego pomysłów i koncepcyj, propagowanych z taką namiętnością, z tak imponującą energią, z tak błyskotliwą i głęboką inteligencją — nie wyszło nic. Życie odrzuciło go na boczny tor. I co? Jest w doskonałym humorze, powoduje procesy sądowe i świetnie się nimi bawi.

Pan Mackiewicz jest do niego podobny. Obaj pochodzą z tej samej warstwy społecznej, z tej samej dzielnicy. P. Stanisław Wańkowicz również. Czyż można uważać za przypadek, że ci ludzie, plus kilku innych wybitnych publicystów pisujących na łamach „Słowa", reprezentują ciekawe połączenia pesymizmu w stosunku do problemów życia Narodu a optymizmu i zadowolenia ze siebie w zakresie ogólnego stosunku do życia, jako procesu psycho-biologicznego?

To nie jest przypadek. To jest normalne zjawisko socjologiczne. Ich pesymizm, to typowy pesymizm warstwy społecznej, która czuje, że ginie i że wraz z nią ginie jej świat i jej widzenie świata wytworzone przez wielowiekową kulturę. Dynamika demograficzna wsi polskiej, ciasnota agrarna, wpływ światowego rynku artykułów rolniczych likwidują powoli, lecz stale warstwę szlachecko-ziemiańską. Tu nie chodzi o reformę rolną — gdyż reforma rolna jest kwestią pewnego uporządkowania żywiołowego procesu likwidacji wielko-rolnych gospodarstw a przede wszystkim ceny ziemi przy parcelacji. Problem polega na tem, że warstwa szlachecko-ziemiańska, spoglądając w przyszłość Narodu Polskiego, nie widzi siebie, nie ma wizji swej roli w przyszłości. Albo też perspektywy przyszłości wydają się jej tak nędzne w porównaniu do dziejowej przeszłości, że nie może z tą przyszłością pogodzić się. Nieliczne jednostki potrafiły się oderwać od swej warstwy i jej schyłkowej psychiki, znalazły sobie miejsce przy współczesnym warsztacie pracy, urządziły się w świecie miejsko-przemysłowej kultury i nie mają powodów do pesymizmu. Inni, również nieliczni, nie mając osobistych powodów do pesymizmu z melancholią lecz bez wrogości patrzą na panoszenie się nowych ludzi, nowych zjawisk, nowego typu kultury, bo mają dużo godności osobistej i instynktu narodowego. Morituri te salutant, Patria — oto ich stanowisko. Ale najwięcej jest tych co z pełnym przekonaniem o swej słuszności przenoszą swój grupowy pesymizm na całość życia narodowego i całość tę, zarówno teraźniejszą jak i przyszłą widzą w czarnych kolorach. Ich heroldem jest p. Mackiewicz, dla nich pisze i ma złudzenie, że jest tym kotem, który chodzi całkowicie własnemi drogami. Tych kotów jest dużo, a on jest tylko najbardziej utalentowany jako dziennikarz-publicysta.

Spotykamy często ludzi chorych lub zgorzkniałych przybitych niepowodzeniem, których irytuje widok cudzego zdrowia i wesołości. Złoszczą się wówczas, lub usiłują wykazać, że życie jest w gruncie rzeczy złe i że nie ma żadnych rozsądnych powodów, żeby z niego się cieszyć. Dla uzasadnienia takiego poglądu można zawsze znaleźć dużo logicznych argumentów. Ale po pierwsze życie musi trwać, więc natura włożyła w ludzi tyle optymizmu, żeby go logika i rozsądek nie zawsze mogły pokonać. No, ale już szewcka pasja ogarnia, gdy „pesymiści chwytają się argumentów sprzecznych z logiką i faktami.

Człowiek ma skłonność wierzyć, a priori, w to, czego chce, czego pragnie, do czego tęskni. Można więc twierdzić, że najbardziej obiektywny człowiek w badaniach nad rzeczywistością będzie choćby w minimalnym stopniu tendencyjnie dobierał argumenty dla potwierdzenia swej tezy i swej wiary, i będzie to czynił świadomie lub nieświadomie, zależnie od głębi swego samopoznania i wewnętrznej szczerości.

Można więc zarzut pewnej tendencyjności stawiać autorowi „Sztafety". Lecz autor z góry ten zarzut uprzedził, przyznając się do tendencji budzenia optymizmu, stwierdzając, że nie pisze dzieła naukowego, lecz „vie romancé" polskiej gospodarki, oświadczając, że chce produkować cenny surowiec — poczucie psychiczne obywatela, w szczególności budzić wiarę w skuteczność pracy i wysiłków nad wzmacnianiem potęgi kraju i jego znaczenia na świecie — wśród młodego pokolenia, które po nas przyjmie pałeczkę dziejowej sztafety.

Mimo tych zastrzeżeń p. M. Wańkowicza, podejmuję się bronić twierdzenia, że zastosowana przez niego metoda operowania faktami jest z naukowego punktu widzenia bez zarzutu. Wańkowicz chciał udowodnić, że wyniki pracy gospodarczej w ciągu 20 lat niepodległości dają mocne i mocno uzasadnione podstawy do optymizmu na przyszłość. I udowodnił to. Wziął punkt wyjścia, ocenił całą nędzę i nicość środków gospodarczych, jakimi rozporządzała Polska w 1918 roku, i zestawił ze stanem obecnym. Powoływał się każdorazowo na fakty i cyfry, weryfikował materiał u fachowców, nic nie przeinaczał. Nienaukowość jego polega jedynie na tem, że opisywał plastycznie i kolorowo, że przemawiał do wyobraźni i do uczucia. Był jednostronny, wykazywał tylko światła a omijał cienie? Przepraszam — to wolno robić — w nauce to jest zjawisko na porządku dziennym. Wolno badać zagadnienie od jednej strony. Wolno postawić sobie problem wyszukiwania elementów rzeczywistości uprawniających do optymizmu na przyszłość. Tylko trzeba to powiedzieć, co autor „Sztafety" uczynił.

P. Mackiewicz twierdzi, że jest to metoda nieprzekonywująca. W stosunku do celu jaki sobie M. Wańkowicz postawił jest widać bardzo przekonywująca, skoro sam p. Mackiewicz przyznaje się, że cie-

szył się czytając „Sztafetę". (Za to przyznanie się może być zbawiony). Ale zaraz potem zaczyna stosować swoją metodę przekonywania, że jest źle i że niema żadnego powodu do zadowolenia i do optymizmu.

Powiada więc, że „Sztafecie" brakuje porównania z innymi krajami, że mało powiedzieć „zrobiliśmy", trzeba spytać — czyśmy zrobili tyle co inni. Jeśli chodzi o całkowite zorientowanie się w sytuacji to p. Mackiewicz ma rację, stawiając sobie takie pytania. Ale to wcale nie dowód, że autor „Sztafety" powinien był sięgać do tego tematu. I tak książkę wydał „grubą", a przecież żadna książka nie wyczerpuje całości problemu. Wreszcie nie była ona pisana z myślą o p. Mackiewiczu. Wobec tych braków p. Mackiewicz robi parę porównań wg własnej metody, zdaniem jego bardziej przekonywującej. Dla porównania wybrał Włochy i triumfalnie powiada: „niech p. Wańkowicz napisze sztafetę włoską, potem porówna ją z Polską i niech... zapłacze (zapłacze — bo jest optymista, gdy by był pesymistą, to zaczął by stroić krotochwilne żarty)".

No i wpadł p. Mackiewicz z tym porównaniem. Musiał go ktoś, mówiąc językiem Wiecha, fatalnie na wodę napuścić.

Zacznijmy od ustalenia, że włoska niepodległość jest przeszło pół wieku starsza od naszej, a zatem Włochy miały długi trening do tego wyścigu, o którym mówi p. M. Poza tem należy ustalić, moment rozpoczęcia wyścigu — otóż ten moment u nas należy liczyć oczywiście od chwili rozpoczęcia gospodarki zamkniętej i planowej, a zatem od lat dwu. We Włoszech ten wyścig zaczął się prawie odrazu po przewrocie faszystowskim. I jaki jest rezultat? Wskaźnik włoskiej produkcji przemysłowej w roku 1937 był 109, polskiej — 111, a w roku 1938 — włoski wskaźnik spadł poniżej 100, nasz wzrósł do 119 (wszystko w porównaniu do 1928 r.)".

Oczywiście, jeśli chodzi o cyfry absolutne, o tonny, kilometry, hektary itd., w których wyraża się dokonana praca, to Włochy nas przewyższają. Przewyższają dla tego, że są krajem bardziej uprzemysłowionym, mają więc wielką podstawę kapitałową.

Wartość włoskiej produkcji przemysłowej w 1929 r. szacuje się na 22 miliardy zł, polskiej na 5 miliardów. Dziś dystans ten zmalał, bo przeliczając wg wskaźnika otrzymamy 22 i 6. Ale mając więcej fabryk, maszyn, urządzeń itp. można zawsze ilościowo więcej wykonać. Niewątpliwie więc na ilość kilometrów Włochy zbudowały dróg więcej niż Polska. Włochy mają jednak znacznie bardziej gęste zaludnienie, więc potrzebują dróg więcej, a mają ponadto kraj górzysty, gdzie bez dróg sztucznie budowanych wogóle nie można pojechać. Słowem M. Wańkowicz mógłby z powodzeniem, w celu wzmocnienia optymizmu swej książki zrobić porównanie z Włochami.

Dlaczegóż p. Mackiewicz tak wpadł z tym porównaniem? Przecież liczby które przytaczam nie są żadną tajemnicą. A no, p. Mackiewicz robi porównanie na oko, na wyrywki i kiepsko dobiera obiekty do porównywania. Popatrzył na Neapol i nie umarł a porównał z Wilnem. Tu od 1925 roku taki rozwój, a tu prawie nic. Ciekaw jestem co by powiedział jakiś włoski Mackiewicz, zamieszkały stale w Trjeście, gdyby zobaczył Gdynię w 1925 r. a dziś i porównał Trjestem. Jeśliby nie powiesił się z rozpaczy na starym dębie w samym centrum Gdyni a wrócił do domu i napisał swoje wrażenia, to zaraz wyjechałby na wyspy Liparyjskie. Bo Triest, dawny port c. k. Austrii, został po wojnie odcięty od swego zaplecza i nie ma możności rozwoju. Wilno wciśnięte między dwie martwe granice, odcięte od swego dawnego obszaru wpływów, jest w sytuacji podobnej. Te dwa miasta można porównywać, jeśli się nie chce wprowadzać w błąd siebie i innych.

Można porównywać Neapol z Katowicami, Poznaniem, Bydgoszczą ale nie z Wilnem. I napewno te porównania nie wypadną przygnębiająco, chyba że się je potraktuje od strony architektonicznej. Mówi się jednak — trudno, 2700 lat tradycji swoje znaczy. Gmachy i drogi budowane przez Imperium Romanum trwają do dziś, uczą, podniecają, budzą wiarę *w trwałość* pracy dziejowej. To znaczy, że powodują optymizm. Pan Mackiewicz zaś uważa za bardziej pedagogiczne budzić w narodzie polskim pesymizm przez negliżowanie wartości dokonanej pracy. Bo nie szanuje pracy w ogóle. Pod tym względem jest spadkobiercą najgorszej tradycji szlachetczyzny. Stąd się rodzi tak niesamowity wybryk, jak próba wywyższenia krotochwilnego zaprzańca ponad Władysława Grabskiego. A przecież Władysław Grabski należy do Historii, należy w Historii Narodu Polskiego do największych. Twórcy Konstytucji 3-go Maja przekazali nam bowiem dwa hasła — Skarb i Wojsko. Piłsudski stworzył Wojsko, Grabski — Skarb. I sam p. Mackiewicz podświadomie oddaje mu hołd: usiłuje przeszmuglować do historii St. Wańkowicza, przyczepiwszy go do surduta twórcy Skarbu Rzeczypospolitej, innego sposobu bowiem nie ma.

Wróćmy jednak do argumentów „ekonomicznych" p. Mackiewicza. Dlaczego go tak zasugestionowała niefortunna włoska sztafeta? Bo propaganda włoska jest doskonała, ale ponadto, człowiek ma skłonność wierzyć w to, czego pragnie. Mackiewicz *pragnie* wykazać że Włochom udało się lepiej. Melchjor Wańkowicz — wprost przeciwnie; możliwe jednak że nie był tego pewny więc ominął temat.

Czy to znaczy że praca Włoch faszystowskich to tylko „puc, granda i nawalanka"? Nie. Tylko ta praca została zużyta na podbój Abisynii. Dokonać tego podboju bez obniżenia ogólnego dochodu i majątku narodowego jest istotnie wyczynem mistrzowskim. Ale nie należy z tego robić sukcesu czysto gospodarczego. W przyszłości ta Abisynia może się gospodarczo bardzo opłacić. My zaś narazie osiągnęliśmy większe stosunkowo sukcesy gospodarcze i zajęliśmy Zaolzie, które daje natychmiastowy gospodarczy zysk, podczas gdy do Abisynii trzeba póki co dopłacać.

Dalej pisze p. Mackiewicz, że „wszyscy zwiększają swój budżet wojskowy a u nas pozostaje ten sam". Pan Mackiewicz, żyje na księżycu, nie wie, że ci „wszyscy" po 1928 roku przeprowadzali dewaluację,

że ceny wyrażone w pieniądzu tam rosły, podczas gdy u nas waluta pozostała bez zmiany, a ceny spadły poniżej wskaźnika 60. To znaczy, że siła nabywcza „tego samego" budżetu jest o 50% wyższa. Ponadto dawniej nie było pozabudżetowych wydatków wojskowych, a dziś 1 miliardowa dotacja na FON. została zrealizowana w dwa lata a więc 500 miln. rocznie. W sumie więc, uwzględniając spadek cen, wartość realna wydatków wojskowych jest dziś *przeszło dwa razy większa* niż 10 lat temu. I to nie są żadne tajemnice — trzeba tylko czytać i myśleć.

Potem robi p. Mackiewicz aluzje do Niemiec. Tak — od początku 1928 r. Niemcy pobiły nas w wyścigu przemysłowym o 9 punktów (128 : 119) w produkcji dóbr inwestycyjnych, przyczyniających się do wzrostu majątku, pobiliśmy my (140 : 135) a jeśli weźmiemy te dwa ostatnie lata, kiedy od treningu przeszliśmy do wyścigu to produkcja niemiecka wzrosła o 19%, a nasza o 27%. Więc o co chodzi? „Dlaczego jest tak źle skoro jest tak dobrze?" Dobrze nie jest, ale jest lepiej i będzie jeszcze lepiej!

Najcięższy argument p. Mackiewicza zostawiłem na zakończenie, podobnie jak i on to uczynił. Słuchajcie, słuchajcie! „Sądzę że *poprostu* na angielskie proporcje (?) budżetu wojskowego nie pozwala nasz stan gospodarczy, stan naszego skarbu".

My, optymiści, tak nie sądzimy, my o tem *poprostu* wiemy. Wiemy, że *proporcjonalnie* do całości budżetu nasze wydatki wojskowe są znacznie większe od angielskich, że w liczbach absolutnych są znacznie mniejsze, że dochód społeczny Anglii jest wielokrotnie większy od naszego itd. Wiemy ponadto, że budżet wojskowy Anglii jest budżetem Imperium Brytyjskiego — to znaczy 1/6 przestrzeni i 1/4 ludności kuli ziemskiej. Znów słowo proporcja użyte bez pojęcia.

P. Mackiewicz twierdzi, że to jest „najlepsze uzasadnienie pesymizmu" że „bardziej przekonywującego nie potrzeba" i że „żadna sztafeta na to nie pomoże".

Hm. Jeśli sztafeta dziejowa będzie posuwała się w takim tempie jak przez te lat 20 w ciągu dalszych 300 lat (tyle mniej więcej czasu upłynęło od dyktatury Kromwella w Anglii), to kto wie? Zdaję sobie sprawę z całej bezczelności wyrażonego powyżej optymizmu. A mimo to gotów jestem pójść dalej. Szczególnie mnie podnieca do tego przykład generała Litwinowicza. Włożył od w roku 1914 w finansowanie walk o niepodległość 70 koron. Rentowność tej lokaty kapitału pobiła wszystkie rekordy. Rokefellery, Morgany, Kreugery, to w dziedzinie dobrego businesu szczeniaki wobec gen. Litwinowicza. Zakładając nawet dziesięciokrotnie mniejszą rentowność preliminowanych w planie trzechletnim 2 miliardów złotych można się spodziewać że dopędzimy Anglię wcześniej jak za 300 lat. Powiedzmy za 150.

Pisząc te słowa już przestaję żartować. Przecież to co piszę, jest w granicach ludzkich możliwości. Przecież narody budują swą potęgę wiekami, 20 lat to bardzo mały wycinek czasu, chodzi najwięcej o ciągłość wysiłku, o tę sztafetę optymistów. U nas ta sztafeta stale się urywała. Między Staszicem a Lubeckim, Lubeckim i Steinkellerem, Steinkellerem a dobą obecną — były przerwy, w których poprzedni wysiłek niszczał. Gdybyśmy mogli i potrafili utrzymać ciągłość wysiłków pracy przez 150 lat, które minęły! Dobra i pożyteczna jest książka, która przed oczyma i wyobraźnią młodzieży mocno i suggestywnie stawia ten problem. Oby myśl przewodnia tej książki wtargnęła do mózgów i serc, sumień i dusz przyszłych pokoleń. Oby przyszłe pokolenia przejęły tylko sztafetę optymistów. Oby w zwycięskim pochodzie „totalnie" i brutalnie wdeptały w ziemię sztafetę tych co stawiali Krzyż na sprawie niepodległości...

P. Mackiewicz twierdzi, że triumfować z dystansów od Pierwszej Kadrowej nie należy, bo „zawdzięczamy ją nie sobie a Marszałkowi Piłsudskiemu". A komu zawdzięczamy Marszałka Piłsudskiego? Czyż nie jest On krwią z krwi i kością z kości pokoleń optymistów, których krew i kości znaczyły pochód zwycięskiej dziejowej sztafety? Czyż nie jest On dzieckiem duchowym romantyków i powstańców? *My, Naród Polski zawdzięczamy Józefa Piłsudskiego siebie samemu! To jest najbardziej optymistyczna*, najbardziej niezaprzeczalna Prawda naszych czasów. Zbyt mało ludzi za nim poszło? To prawda, to smutne... ale jeżeli to mało okazało się dość, to tem więcej jest powodów do optymizmu, do wiary w przyszłość. A dziś jest przecież już znacznie więcej tych co uznali Jego Testament.

Tem bardziej, że ja przesadziłem mówiąc o Mackiewiczowskiej sztafecie. To nie jest żadna sztafeta „Sztafeta" bowiem oznacza ruch, bieg naprzód. Tu chodzi tylko o zmieniającą się w ciągu pokoleń ekipę, która stoi w miejscu i przekazuje sobie kij, który wsadza w szprychy dziejowej sztafety. Kiedyś kij był mocny, koło słabe, ruch powolny, więc łatwo było i ruch zahamować a czasem i koło złamać. Dziś koło jest mocne, ruch szybki. Jeśli więc kij między szprychy wsadzić, to nie szprychy się połamią, a kij pęknie, a może i trzymającą go rękę mocno nadwyrężyć. Pozostaje więc tylko pesymistycznie — krotochwilna zabawa — przykładać koniuszek kija do obracających się szprych i słuchać jak trajkocze. Im szybszy jest ruch obrotowy koła tem głośniejsze trajkotanie.

Ot i cała rola pesymistycznych publicystów w Polsce. Proszę więc mi wybaczyć troche patosu, bo bardzo możliwe, że sytuacja jest tak dobra, że ani ten patos, ani cały artykuł w ogóle nie były potrzebne, a usiłując przegadać pesymistyczne trajkotanie, powiększyłem tylko niepotrzebnie hałas.

ADAM ZIELIŃSKI

ZRÓŻNICZKOWANIE PRZEMYSŁU JAKO METODA ŁAGODZENIA BEZROBOCIA

Interwencja państwa w zakresie geograficznego rozmieszczenia przemysłu powinna opierać się nie tylko na przesłankach militarnych, ale jednocześnie usuwać inne wady terytorialnej koncentracji.

Artykuł niniejszy jest oparty na pracy R. C. Tessa, wydrukowanej w ostatnim „The Manchester School" i stanowi próbę rozwinięcia wniosków autora angielskiego i przystosowania ich do warunków polskich.

Lokalizacja przemysłu w wieku XIX odbywała się zgodnie z zasadą wydajności technicznej i rentowności. Zakłady przemysłowe powstawały tam, gdzie były ku temu dogodne warunki naturalne: źródła surowców lub ułatwiony ich dowóz, tania siła robocza, źródła energii. Oprócz punktu widzenia rentowności prywatnej żadne inne względy — społeczne, militarne, ogólno - narodowe — nie wpływały na taką a nie inną lokalizację poszczególnych zakładów i całych gałęzi wytwórczości.

W rezultacie samorzutnego, opartego o niczem nie skrępowaną inicjatywę prywatną, powstawania ośrodków przemysłowych, wytworzyły się w krajach Europy i Ameryki miasta, a nawet całe okręgi, opanowane przez jedną lub kilka gałęzi produkcji. Dzięki koncentracji geograficznej przemysłu powstały okręgi górniczo - hutnicze w Anglii, Niemczech i innych krajach, ośrodki włókiennicze w Angliii i na kontynencie, itp. W Polsce przykładami takich opanowanych przez jedną lub kilka spokrewnionych gałęzi przemysłu obszarów mogą służyć Śląsk i Łódź.

Najintensywniej występuje to zjawisko w krajach o mniej zróżnicowanej gospodarce — w krajach bi — lub nawet monokultur. Np. Brazylia wyspecjalizowana jest w produkcji kawy, Argentyna — w mięsie, skórach i pszenicy, Kuba — w cukrze.

Wynikiem samorzutnego, naturalnego umiejscowienia przemysłu były ośrodki gospodarcze produkujące tanio i technicznie jak najlepiej, a więc i rentownie. Przed wojną światową niczego innego od przemysłu nie wymagano.

Skoncentrowanie geograficzne przemysłu ma jednak wielką wadę z punktu widzenia narodowego i społecznego: sprzyja rozwojowi bezrobocia i utrudnia walkę z nim. Przeciwnie: zróżnicowanie geograficzne przemysłu, tj. istnienie okręgów przemysłowych, będących siedzibą szeregu różnych gałęzi przemysłowych, ze sobą technicznie nie związanych, łagodzi bezrobocie i ułatwia walkę z nim.

Z punktu widzenia koniunkturalnego, skoncentrowanie na jednym obszarze jednego lub kilku działów przemysłu produkujących na przykład dobra kapitałowe, wywoła w czasie kryzysu i depresji bezrobocie większe, niż w okręgu gdzie istnieje obok tego wytwórczość dóbr konsumcyjnych. Wyobraźmy sobie dwa okręgi przemysłowe: jeden opanowany całkowicie przez górnictwo i hutnictwo, drugi zaś przez szereg gałęzi przemysłu o charakterze jak najbardziej zróżniczkowanym, — bezrobocie koniunkturalne będzie w pierwszym okręgu poważniejsze i znacznie bardziej trudne do zwalczenia niż w drugim. Okrąg opanowany przez jeden — dwa przemysły jest w czasie depresji cały objęty stagnacją i bezrobociem; okrąg o przemysłach zróżnicowanych cierpi mniej, gdyż nie wszystkie przemysły przeżywają depresję jednocześnie. Szczególnie szczęśliwym połączeniem jest przeplatanie jednej lub dwóch gałęzi przemysłu, wytwarzających dobra kapitałowe, z kilku działami, produkującymi rozmaite dobra konsumcyjne, gdyż przemysły dóbr konsumcyjnych odczuwają depresję koniunkturalną w stopniu znacznie mniejszym i później niż przemysły dóbr kapitałowych, inwestycyjnych; tworząc okręgi mieszane, gdzie reprezentowane są obie kategorie wytwórczości, zapobiega się koncentracji bezrobocia w czasie i ułatwia się rozprowadzenie bezrobotnych jednego przeżywającego kryzys przemysłu i wchłonięcie ich przez inne grupy przemysłowe.

O ile chodzi o zmiany strukturalne, doskonałym przykładem może służyć Anglia. Przemysły węglowy i bawełniany są w Anglii skoncentrowane na pewnych obszarach, nie posiadających poza tem prawie żadnych innych przemysłów. Fakt ten, dodatni z punktu widzenia taniości i wydajności produkcji, okazał się jednak bardzo uciążliwy z punktu widzenia zatrudnienia. Gdy po wojnie światowej angielskie kopalnictwo węglowe i przemysł baweniany znalazły się w stanie stałej depresji strukturalnej, bezrobocie w tych okręgach doszło do 70 — 80% i było, a nawet jest dotychczas, niezwykle trudne do opanowania. Gdyby poszczególne gałęzie przemysłu angielskiego były mniej skoncentrowane geograficznie, nie było by obszarów o tak wielkim, a tak szkodliwym gospodarczo i socjalnie natężeniu bezrobocia. Robotnicy, przeżywających kryzys przemysłów, łatwiej by mogli przejść do innych działów wytwórczości przemysłowej, o ile by te znajdowały się na miejscu, a nie w innych dalekich nieraz dzielnicach kraju.

Zróżnicowanie przemysłu na danym obszarze geograficznym zmniejsza natężenie bezrobocia w czasie i w przestrzeni, przyczynia się do bardziej równomiernego rozkładu bezrobocia istniejącego i ułatwia walkę z nim. Obszary o przemyśle zróżnicowanym rzadko jednak powstają samorzutnie; muszą one być stworzone sztucznie, a więc poprzez inicjatywę Państwa.

W epoce względnego liberalizmu gospodarczego Państwo w minimalnym stopniu interesowało się sprawą lokalizacji przemysłu: inicjatywa prywatna dbała zaś wyłącznie o wydajność techniczną i ekonomiczną przedsiębiorstw i nie brała pod uwagę żadnych innych względów. Cała „Standortlehre" opierała się wyłącznie na zasadzie rentowności, rozumianej z punktu widzenia interesów przedsiębiorcy. Obecnie rządy większości krajów bardzo starannie określają, gdzie mają powstać nowe zakłady przemysłowe, lub nawet dokąd mają być przeniesione pewne zakłady już istniejące. Przy rozmieszczaniu geograficznym przemysłu Państwo dba nie tyle o rentowność, ile o względy inne, których przedsiębiorca prywatny w kalkulacji swej pod uwagę nie bierze. Państwo tworzy działy produkcji, których by inicjatywa prywatna nie stworzyła, i tworzy je na obszarach z punktu widzenia przedsiębiorcy prywatnego do danej produkcji się nie nadających. Dzieje się tak czy to wskutek dążenia do samowystarczalności gospodarczej, czy też z innych powodów związanych z podniesieniem obronności Państwa.

O ile więc Państwo współczesne stanęło na stanowisku, że można i trzeba pracować gospodarczo, budować i wytwarzać dla celów innych, niż te, które się mieszczą w kalkulacji prywatnego przedsiębiorcy — można i trzeba dążyć do tego, żeby prowadząc taką a nie inną politykę lokalizacji przemysłu Państwo miało na względzie nie tylko cele militarne, lecz i pewne momenty społeczne, — w pierwszym rzędzie likwidację istniejącego bezrobocia i zapobieganie ponownemu jego powstawaniu. Państwo walczy z bezrobociem prowadząc odpowiednią politykę inwestycyjną, inicjując roboty publiczne. Będzie więc leżało w linii polityki państwowej połączenie celów nadrzędnych, związanych ze sprawą obronności państwowej, z celami o charakterze społecznym, związanymi z zapewnieniem stałości zatrudnienia. Zróżnicowanie przemysłowe, dekoncentracja geograficzna, zapobieganie tworzeniu się skupień zakładów jednej wyłącznie gałęzi przemysłu — są to cele, do których Państwa współczesne dążą, aczkolwiek nie mając na względzie walki z bezrobociem. Stałość zatrudnienia, bardziej równomierny rozkład nieuniknionego bezrobocia, złagodzenie pod tym przynajmniej względem wahań koniunkturalnych — oto są postulaty, których realizacja nie kolidując bynajmniej z głównymi celami polityki gospodarczej Państwa da się uskutecznić za pomocą środków będących już obecnie do dyspozycji organów państwowych.

W Polsce mamy dwa obszary o wyjątkowo niefortunnej z punktu widzenia militarnego i społecznego (zapewnienie stałości zatrudnienia) koncentracji przemysłowej: Śląsk z Zagłębiem Dąbrowskim i Łódź z przylegającymi ośrodkami włókienniczymi. Mamy też sztucznie tworzony okrąg przemysłowy, budowany według pewnego planu przez Państwo, a więc nie według zasad przyświecających przedsiębiorcy prywatnemu. Nawet jeżeli ci, co budowę C. O. P-u planują i uskuteczniają, nie mają wyraźnie na względzie stworzenia obszaru o przemyśle tak zróżnicowanym, aby bezrobocie w tej części kraju było w przyszłości minimalne, a walka z nim łatwiejsza niż gdzie indziej, możemy być pewni, że bezrobocie w C. O. P-ie nigdy nie osiągnie rozmiarów jakie miało podczas depresji na Śląsku lub w Łodzi. Było by jednak ciekawe przeprowadzić badania w poszczególnych obszarach przemysłowych w Polsce i obliczyć wskaźniki zróżnicowania przemysłu dla każdego okręgu; można było by nawet określić pewien wskaźnik minimalny i dbać o to, by koncentracja przemysłu nigdy nie przekraczała ustalonej za pomocą wskaźnika granicy. Nie należy naturalnie przesadzać i dążyć do jak najbardziej równomiernego rozmieszczenia różnych działów przemysłu na całym obszarze kraju; pewne uwzględnienie znaczenia zróżnicowania przemysłu dla zapewnienia ciągłości zatrudnienia było by jednak przy prowadzeniu polityki uprzemysłowienia pożądane.

Uwagi powyższe nie zawierają ani sposobu obliczania wskaźnika zróżnicowania przemysłu, ani też nie zajmują się bliżej wpływem zróżnicowania geograficznego przemysłu na złagodzenie wahań koniunkturalnych. Chodzi w nich wyłącznie o zwrócenie uwagi na pewne zagadnienie aktualne wszędzie, gdzie bezrobocie istnieje, a specjalnie w Polsce, gdzie w związku z budową C. O. P-u odbywa się całkowita zmiana rozmieszczenia geograficznego ośrodków przemysłowych.

W czasie kryzysu i depresji występują zwykle wyraźne dysproporcje pomiędzy poszczególnemi grupami gospodarstwa narodowego. Najczęściej zarysowują się różnice pomiędzy działami: produkcja dóbr konsumcyjnych — produkcja dóbr kapitałowych, oraz przemysł — rolnictwo. Cykl gospodarczy dla każdego z tych działów jest inny, przy czem różnice są widoczne zarówno jeżeli chodzi o natężenie poszczególnych faz cyklu, jak i o ich moment. Pomiędzy rozwojem rentowności, zbytu i zatrudnienia w grupie: produkcja dóbr kapitałowych, a w grupie: produkcja dóbr konsumcyjnych, istnieje współzależność, lecz nie ma równoległości. To samo stosuje się do przeciwstawienia przemysł — rolnictwo. To samo, lecz w mniejszym stopniu, do pewnych podgrup w każdym z wymienionych działów: cykl gospodarczy w przemyśle samochodowym będzie przebiegał inaczej co do natężenia i momentu poszczególnych faz, niż w przemyśle włókienniczym — chociaż oba zaliczamy do grupy produkującej dobra konsumcyjne.

Z powyższego wyraźnie wynika potrzeba zróżnicowania geograficznego produkcji, jeżeli chce się uniknąć koncentracji bezrobocia w czasie i w przestrzeni. Państwa współczesne walczą zwykle z bezrobociem post factum: gdy bezrobocie osiąga poważne rozmiary, zaczyna się prowadzenie wielkich robót publicznych oraz, znacznie rzadziej, planowe przenoszenie robotników z działów produkcji lub obszarów szczególnie dotkniętych bezrobociem do innych, mniej dotkniętych lub nawet prosperujących. Oba systemy posiadają swoje trudności; o ile potrzebna do prowadzenia wielkich robót publicznych, czy też inwestycji państwowych, polityka kredytowa da się zwykle przeprowadzić, o tyle akcja przenoszenia siły roboczej z jednej miejscowości do drugiej napotyka zazwyczaj na przeszkody natury pozagospodarczej, lecz niezwykle trudne do przezwyciężenia

— i to nawet w krajach o ustroju totalitarnym, nie mówiąc już o państwach mniej zdecydowanych w dysponowaniu siłą roboczą. Zróżnicowanie przemysłu nie tylko pomaga walczyć z bezrobociem sposobami wyżej podanymi, nie tylko rozkłada je bardziej równomiernie w czasie i przestrzeni, lecz także zapobiega bezrobociu, zmniejsza dla każdego momentu cyklu koniunkturalnego ilość osób, będących chwilowo bez pracy. Okrąg lub miejscowość przemysłowa, opanowane przez jeden lub kilka działów produkcji, znajdują się w czasie depresji, przeżywanej przez te właśnie przemysły, w sytuacji bez wyjścia. Podstawowy dział produkcji danego okręgu jest w stanie stagnacji; lokalny przemysł przewórczy, pokrywający przeważnie potrzeby robotników traci większość swoich konsumentów. Powstawaniu takich ośrodków bezrobocia i stagnacji, a co za tem idzie nędzy i fermentu społecznego, zapobiec może tylko dekoncentracja geograficzna przemysłu, jego zróżnicowanie.

U W A G I

WIDMO ZAGŁADY

„Uważamy, że *optymistycznie* rzecz ujmując, można się spodziewać na lata najbliższe osiągnięcia rentowności jedynie przez majątki ziemskie *nabyte już według dzisiejszych cen ziemi*, wszystkie inne są — naszym zdaniem — skazane na nieuchronną zagładę". Tak ująłem w ostatnim numerze „Gospodarki Narodowej" w polemice z p. Eustachym Rylskim perspektywy rentowności w Polsce na lata najbliższe własności ziemskiej, opartej na pracy najemnej, dodając jednocześnie, że uznaję, iż „dla większych warsztatów rolnych warunek „opłacalności" jest na dłuższy okres czasu bezwzględnie konieczny, a dzisiaj — przyznajemy — w Polsce nie spełniony, zwłaszcza, jeżeli mówić o całości warsztatów rolnych opartych o pracę najemną i uwzględnić średni koszt ponoszony przez nie w związku z obsługą długów, zaciągniętych w odmiennym okresie gospodarczym".

Dlatego też nie dziwi mnie bynajmniej, że prezes Rady Nadzorczej Związku Ziemian w Warszawie p. Jerzy Ciechomski, otwierając zebranie ogólne Związku Ziemian w dn. 7 b. m., stwierdził m. in.: „Ukazuje się nam coraz straszniejsze widmo niepewności jutra, a nawet zagłady". żałuję natomiast bardzo, że podczas obrad Związku, który z natury rzeczy nie może się z tą zagładą pogodzić, ani nie sformułowano dostatecznych racyj, iż wielkie warsztaty rolne są dla gospodarstwa polskiego czynnikiem niezbędnym, ani — co gorsza — nie wysunięto nawet w formie konkretnej planu nadzwyczajnych środków ratowania tych warsztatów przed czekającą je zagładą, wychodząc już z milczącego założenia, że niezbędność wielkich warsztatów rolnych w dotychczasowej formie powinna być dostatecznie zrozumiała dla wszystkich.

Pan prezes Ciechomski załatwił się natomiast z tymi, którzy jak ja np., skłonni jesteśmy uważać, iż ratowanie wielkich warsztatów rolnych w Polsce w ich obecnej formie wymaga tak wielkich ofiar, że samo ich uczciwe sformułowanie musiało by się przyczynić do głębokiej rewizji nietylkalnej tezy o konieczności istnienia w gospodarce polskiej wielkich warsztatów rolnych, w sposób właściwy zawsze ludziom nie mającym racji: poprostu insynuacją. „Śmiem twierdzić, że czynnikom, atakującym nas, bynajmniej nie chodzi tyle o szczęście mas ludowych, ani o poprawę położenia rolnictwa, ani nawet o zaprowadzenie w Polsce ładu i porządku — ile przede wszystkim o zlikwidowanie i wyeliminowanie z życia wsi elementu ziemiańskiego". Nie wiem, o co chodzi komu, niech już lepiej zgaduje to p. Ciechomski sam, wiem natomiast, aż nadto dobrze, że mnie chodzi o poprawę położenia rolnictwa bez względu na interesy grupy ziemiańskiej i że właśnie dlatego godzę się na zagładę wielkich warsztatów rolnych wychodząc wraz z ś. p. Władysławem Grabskim z oczywistych faktów, iż „warsztaty oparte o własną pracę rolnika rozwinęły swą produkcję — horribile dictu — w ostatnim ośmioleciu, pomimo kryzysu". Chcę natomiast podkreślić, że droga obrana przez p. Ciechomskiego, droga „śmiem twierdzić", jest nie drogą poważnej dyskusji, a drogą zmierzającą jedynie do oklasków i błysku łez u oddanych słuchaczy (patrz komunikat Agencji Agrarnej z przebiegu Walnego Zebrania Związku Ziemian), drogą, która przeciwników p. Ciechomskiego z łatwością upoważniłaby do takich np. twierdzeń:

„Śmiemy twierdzić, że ziemiaństwo polskie cały swój pogląd na sprawy ronlicze w Polsce nagina jedynie i wyłącznie do swoich kastowych interesów, że wysuwając argument niezbędności wielkich warsztatów rolnych dla obrony państwa, świadomie wygrywa potrzebną opinię czynników wojskowych, zdając sobie sprawę z całej demagogii podobnej tezy, że naprawdę zna jedną tylko zasadę dla swojej działalności: podporządkować swoim interesom wszystkie inne — wsi chłopskiej przede wszystkim".

Napewno na tej drodze nie wyjaśni się niczego, ale przyznać trzeba, że widocznie Związkowi Ziemian nie bardzo zależy na wyjaśnianiu, skoro w uchwalonych przez walne zebranie Związku rezolucjach znajdują się takie passusy:

1) „należy stworzyć odpowiednie warunki, by ludność nie znajdująca na wsi należytego zatrudnienia i środków zarobku, mogła je znaleźć w przemyśle, handlu i rzemiośle". To przecież było prościej uchwalić poprostu, że „trzeba stworzyć odpowiednie warunki, by wszystkim było lepiej". Czy panowie ze Związku Ziemian doprawdy nie wiedzą, że nawet wzrost produkcji przemysłowej nie pociąga za sobą automatycznie proporcjonalnego wzrostu zatrudnienia i, że wielki nawet rozwój uprzemysłowienia Polski będzie mógł przez cały szereg najbliższych lat powodować jedynie nienarastanie rąk zbędnych na wsi, ale nie ich likwidację? Jeżeli naprawdę nie wiedzą, to istotnie polemika staje się trudna. Jeżeli zaś wiedzą i uchwalają takie rezolucje, no to „śmiem twierdzić"...

2) „dalszy rozwój rolnictwa możliwy jest jedynie

po należytym rozwiązaniu zagadnienia zadłużenia". Przede wszystkim nie prawda, bo rolnictwo drobne rozwija się mimo braku rozwiązania zagadnienia zadłużenia w sposób „należyty" i zdanie powyższe jest prawdziwe tylko po wstawieniu na miejsce „rolnictwa" — „wielkich warsztatów rolnych". A poza tem chyba można żądać właśnie od Związku Ziemian, aby powiedział jasno i wyraźnie, co to jest „należyte" rozwiązanie zagadnienia zadłużenia? Póki tego nie uczyni, mam wrażenie, że każdemu wolno sądzić, iż apetyty ziemiaństwa pod tym względem idą tak daleko, że nie nadają się do publicznej deklaracji, a kwitnąć mogą tylko w atmosferze pojękiwań i ogólnych narzekań.

3) „celem agrarnej polityki Państwa winno być oparcie struktury rolnej na zachowaniu odpowiedniej ilości gospodarstw folwarcznych". Przecież doprawdy pod tym zdaniem może podpisać się każdy. Chodzi tylko o to, co to „odpowiednia ilość". Jeden może myśleć: taka, która obejmuje 1% ogółu użytków rolnych, drugi taka, która obejmuje 15% ogółu użytków rolnych. Po co uchwalać więc takie rezolucje? Chyba nie celem samoośmieszenia się? A więc znowu chyba tylko dlatego, że nie ma się odwagi sformułować jasno stawianego postulatu. Zanadto byłby on bowiem niepopularny i drażniący.

Kto zaś ma takie nastawienie, ten naprawdę przygotował się widać już do zagłady, nie potrafi bowiem walczyć o swoje racje z przeciwnikami, którzy — przyznać trzeba — w ostatnich latach ogromnie się wzmocnili pod względem uniezależnienia swego myślenia ekonomicznego od presji głębokich teorii ziemiaństwa i dlatego tak są nieprzyjemni w dyskusji. I na dodatek — co gorsza — nauczyli się wysuwać na pierwszy plan właśnie racje ekonomiczne, a nie tylko — jak dawniej — przede wszystkim wołać o sprawiedliwość społeczną. Zauważywszy, że martwota ogarnia ziemiaństwo, chytrze podporządkowali się wezwaniu poety:

„Cyrkla, miary i wagi
Do martwych użyj brył".

I w ten sposób mocno i stanowczo odgrodzili się od zarzutu, że „siły mierzą na zamiary". A tak było dawniej łatwo i wygodnie zwalczać ich, poprostu mentorskim tonem, jako „patres patriae". Dziś trzeba mieć jeszcze rację, a to doprawdy trudniej. I stąd poziom ostatniego walnego zebrania Związku Ziemian.

Stefan Zawadzki.

KASY BEZPROCENTOWE NA STOLE OPERACYJNYM

Według doniesień prasy codziennej — oficjalnie nie zdementowanych — Państwowy Bank Rolny przystępuje do organizacji kas bezprocentowych w kilkunastu powiatach C. O. P-u, wyposażając je w poważny, bo sięgający 500 tys. zł, kapitał. Kasom tym ma być powierzone zadanie finansowania nowozakładanych przez ludność wiejską drobnych warsztatów przemysłowych i handlowych; pożyczki będą udzielane do wysokości kilkuset złotych z terminem płatności kilkuletnim. Siedzibą Kasy projektowanego typu ma być miasto powiatowe, a terenem działalności — powiat. Administracja Kas spoczywać ma w rękach komunalnych kas oszczędności. Oto garść posiadanych informacyj o zamierzeniach P. B. R.

Na przeciętnego czytelnika gazet wiadomości te podziałają pokrzepiająco; tyle się nasłyszał o przeludnieniu wsi, nędzy jej mieszkańców i lichwie, która gnębi kmiotków, że z zadowoleniem wewnętrznym — jak po spełnieniu dobrego uczynku — przyjmie szlachetne i mądre decyzje władz P. B. R., kierujące część zapłaconych ongiś przez tegoż czytelnika podatków do rąk maluczkich. Zgoła inne będą natomiast refleksje działaczy kas bezprocentowych, do których należy autor, zwłaszcza, o ile nie będą im obce elementy rynku pieniężnego. Jakąż bowiem rolę grają normalne kasy bezprocentowe i jaki jest ich sens gospodarczy oraz socjalny?

Kasy, mają za zadanie zasilać kredytem tych drobnych producentów, którzy nie mają możności uzyskać pożyczki w zwykłych instytucjach kredytowych, nie z racji — broń Boże — przekredytowania, lecz poprostu dlatego, że nie dają wymaganego przez banki zabezpieczenia rzeczowego. Kasy — jako najdrobniejsze, lokalne komórki — obejmują zatem swą działalnością te sfery, do których zwyczajna instytucja kredytowa nie dociera, konkurując natomiast z prywatnymi dyskonterami. Tak więc łagodząc działanie lichwy, kasy nie wpływają ujemnie na aparat kredytowy. Pożyczki udzielane są drobne i — w przystosowaniu do potrzeb i możliwości dłużników — krótkoterminowe. Administruje kasą bezpłatnie zarząd, utrzymujący żywy i bezpośredni kontakt z klijentelą zamieszkującą najbliższą okolicę; fundusze czerpią przeważnie kasy z dobrowolnych, drobnych składek. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że tak pomyślane kasy stanowią skuteczny środek rozwijania solidaryzmu między warstwami posiadającemi i najuboższemi.

Nie wiele z przytoczonych cech i zalet kas bezprocentowych da się odnaleźć w projektowanych przez P. B. R. instytucjach, obarczonych natomiast — jak wolno mniemać — szeregiem grzechów pierworodnych. Powiatowa kasa bezprocentowa będzie instytucją wyższego typu, aniżeli spółdzielnie kredytowe i gminne kasy pożyczkowe, a równorzędną z komunalną kasą oszczędności powiatową. Operując dość poważnymi kapitałami i zajmując się rozdawnictwem stosunkowo wysokich pożyczek, taka kasa bezprocentowa wpłynąć może w wysokim stopniu dezorganizująco na drobne instytucje kredytowe, pobierające procent (co za zdrożność!). Równocześnie administracja tych kas będzie z konieczności droga i ciężka, ryzyko i straty na kapitale duże. O łagodzeniu antagonizmów klasowych i akcji wychowawczej oczywiście mowy być nie może; wolno nawet wyrazić obawę, że dzieląc ludność na obdarzonych kredytem (czytaj subwencją) i pozbawionych go, wytworzą te kasy nowe fermenty.

Uparty optymista znajdzie pociechę w jednej tylko okoliczności — oto nowe kasy przy oddłużaniu swych kiepskich dłużników nie będą miały kłopotów z przeliczeniem i księgowaniem odsetek. Będzie to ich niezaprzeczalna wyższość nad instytucją, która te kasy zamierza powołać do życia.

Jarosław Dratwa.

BEZDROŻA BUDOWNICTWA UBEZPIECZENIOWEGO

Działalność mieszkaniowo - budowlana społecznych instytucji ubezpieczeniowych w ciągu ostatnich dwuch lat ponownie się ożywiła.

Zjawisko to traktuje opinia publiczna, jak się zdaje, z satysfakcją i zainteresowaniem. Poczucie zadośćuczynienia jest uzasadnione tem, że skierowania poważniejszych kapitałów ubezpieczeniowych do budownictwa społecznego domagano się już oddawna. Zainteresowanie zaś wynikało z przeświadczenia, że program budowlany zakładów ubezpieczeniowych w takiej postaci, jaką miał on do roku 1933, ulegnie gruntownej rewizji.

Opracowując bowiem ów program popełniono bardzo istotny błąd. Stawiano sobie wprawdzie za cel dostarczanie mieszkań pracownikom najemnym, nie zbadano jednak uprzednio, ani potrzeb, ani możliwości płatniczych tej głęboko zróżnicowanej masy, kryjącej w sobie tak wielką przecież rozpiętość standartów życiowych. W rezultacie, do mieszkań, przeznaczonych w zasadzie dla lokatorów robotniczych, ze względu na wysokość komornego, wprowadzić się mogli przede wszystkim gorzej uposażeni pracownicy umysłowi i tylko w rzadkich wypadkach najlepiej zarabiający robotnicy; mieszkania zaś pomyślane, jako „pracownicze", zajęli jedynie lepiej płatni pracownicy umysłowi, średnich i wyższych stopni uposażenia. Program budowlany, oparty na abstrakcji pracownika najemnego „jako takiego", egzaminu nie zdał, i inaczej być nie mogło.

Wydawało się, że istota błędu została zrozumiana, tak można było sądzić przynajmniej na podstawie niektórych publikacji zakładów ubezpieczeniowych. Można więc było żywić nadzieję, że błąd zostanie naprawiony, tem bardziej, że w międzyczasie nagromadziło się sporo cennego doświadczenia w zakresie budownictwa mieszkań społecznie niezbędnych.

Niestety jednak rewizja programu budowlanego zakładów ubezpieczeniowych nie poszła we właściwym kierunku. Program ten nadal stoi w jaskrawej sprzeczności ze społecznym sensem inwestowania funduszów publicznych w budownictwie mieszkaniowym.

Pierwsze wrażenie, jakie się odnosi obserwując budownictwo ubezpieczeniowe nie tylko w Warszawie, ale i w innych ośrodkach, jest takie, że jego program został świadomie zwężony. Po nieudanej próbie z lat przedkryzysowych zakłady ubezpieczeniowe zrezygnowały z budownictwa mieszkań robotniczych. Zadanie dostarczania mieszkań tej części pracowników najemnych, która najbardziej jest dotknięta przez kryzys mieszkaniowy i która przecież stanowi większość ubezpieczonych, przekazano T. O. R-owi oraz... prywatnej inicjatywie budowlanej. Kierowano się zapewne obliczeniem, że mieszkanie o komornem dostępnym dla robotnika (do 25 zł), jest inwestycją zbyt mało rentowną.

Przepisów o wyborze lokat dla funduszów zakładów ubezpieczeniowych nie znam. Wydaje się jednak, że wystarczy spojrzeć na społecznie niezbędne inwestycje mieszkaniowe nie z punktu widzenia bezpośredniej rentowności, ale z punktu widzenia choćby profilaktyki, która jest najskuteczniejszą drogą do redukcji świadczeń, by zrozumieć, że akcja budowlana tego typu byłaby w gruncie rzeczy najbardziej przezorną i dalekowzroczną polityką lokacyjną.

Ograniczenie więc programu budowlanego do mieszkań, przeznaczonych wyłącznie dla pracowników umysłowych, z pominięciem większości ubezpieczonych, trzeba uznać za błąd, tem większy, że akcja Towarzystwa Osiedli Robotniczych obraca się w wąskich ramach 10 — 12 mil. zł, rocznego budżetu i poważniejszej roli na rynku mieszkaniowym nie gra.

Z chwilą jednak, kiedy charakter budownictwa ubezpieczeniowego został w ten właśnie sposób zupełnie wyraźnie określony, zdawało by się, że została znaleziona podstawa dla społecznie racjonalnej kalkulacji komornego. Z. U. S. sam prowadzi statystykę zarobków pracowników umysłowych, wie zatem, że w Warszawie 70% tych pracowników zarabia do 360 zł miesięcznie, w tem zaś 30% tylko do 180 zł, że przeciętny zarobek ewentualnego jego (Z. U. S-u), lokatora wynosi miesięcznie 263 zł, że tedy lokator ten, jeżeli nawet zdoła na komorne przeznaczyć 20 — 25% swego zarobku (norma bardzo wysoka!), to więcej, niż 50 — 65 zł nie zapłaci. W tych ramach musiałyby się zatem obracać i projekt i koszt wykonania mieszkania, odpowiadającego zdolności płatniczej przeciętnego pracownika umysłowego.

A cóż proponuje mu Z. U. S.? Oddano ostatnio do eksploatacji dwa wielkie kompleksy przy ul. Belwederskiej i Filtrowej, liczące razem kilkaset mieszkań, rozmaitej wielkości — od kawalerskiej jednoizbówki do 6-izbowych apartamentów. Już sam fakt lokowania publicznych pieniędzy w 6-ścio izbówki jest skandalem (i nonsensem: prywatni przedsiębiorcy zaczynają ostatnio przebudowywać większe lokale, których nabudowano zbyt wiele, na mniejsze). Mniejsza jednak z tem. Na jakim poziomie kalkuluje Z. U. S. komorne w tych domach?

Komorne w nowych domach Z. U. S-owych wynosi od 110 zł, do 450 zł miesięcznie!

Dla kogo to było budowane? Bo przecież nie dla tych przeciętnych, najbardziej potrzebujących, dwustu sześćdziesięciozłotowych pracowników, których nie stać nawet na wynajęcie zusowej jednoizbówki.

Jak uzasadnia się lokowanie publicznych, ze składek ubezpieczeniowych pochodzących pieniędzy w budownictwie mieszkań dla osób o takiej wysokości zarobków, która pozwala płacić 450 zł komornego miesięcznie, dla osób, które powinny i mogą zaspakajać swe potrzeby mieszkaniowe na rynku prywatnym?

Czy słuszne jest, aby wysokość komornego, obowiązująca w domach prywatnych kamieniczników, była faktycznym regulatorem komornego w domach społecznych zakładów ubezpieczeniowych, czy też raczej należy dążyć w odwrotnym kierunku?

Z jakich składników składa się to komorne, wyśrubowane do wysokości, na którą pozwala sobie nie każdy kamienicznik?

b. ż.

NOTATKI

NIEPOTRZEBNE SPRAWOZDANIE

Niedawno ukazało się sprawozdanie Zarządu Zrzeszenia Związku Właścicieli Lasów za rok 1937/38. Robi ono wrażenie źle uszytego ubrania, przy czem trudno oprzeć się przeświadczeniu, że skrojono je niewłaściwie z pewnego rodzaju premedytacją. Zarówno bowiem w całości jak i in partibus sprawozdanie nie leży dobrze.

Sądziliśmy, że w sprawozdaniu Zrzeszenia Własności Leśnej przede wszystkim powinny być omówione kwestie, dotyczące urządzenia ochrony i eksploatacji lasu oraz palące zagadnienie uprzemysłowienia prywatnej gospodarki leśnej, od którego zależy koniec końców jej rentowność i kariera gospodarcza.

Okazuje się jednak, że Zarząd Zrzeszenia zastosował swoją własną, odmienną od naszkicowanej powyżej, hierarchię ważności zagadnień skoro zamiast omówienia spraw gospodarczo - leśnych poczęstował nas coctailem koniunkturalnym z zakresu eksportu drewna, mimo to, że udział prywatnej gospodarki leśnej wyraża się w zakresie eksportu materiałów tartych liczbą 2%, w wywozie papierówki zaś liczbą 0,7% ogólnopolskiego eksportu tych sortymentów.

Wszystkie zestawienia eksportowe itd. zostały podane z dokładnością do 1 m³, przy czem ta przesadna ścisłość miała widocznie uchronić przygodnego czytelnika od pokusy sprawdzania hojnie zgromadzonych danych statystycznych, a zwłaszcza od wyciągania z nich wniosków w odniesieniu do prywatnej własności leśnej.

Tymczasem sprawdziliśmy niektóre dane i co się okazało?

Sprawozdanie podaje np. że w roku 1937 Polska wywiozła 1.618.771 m³ materiałów tartych, na co potrzeba 2.150.000 m³ surowca drzewnego. Wynikało by stąd, że tartaki w Polsce uzyskują 75% wydajności przy przecieraniu drewna, podczas gdy w istocie wydajność ta wynosi około 60%. Wprowadzając tę poprawkę otrzymamy, że do wyprodukowania podanej wyżej ilości tarcicy na eksport zużyto o 540 tys. m³ surowca drzewnego więcej niż chce sprawozdanie.

Z równą niefrasobliwością określa sprawozdanie zużycie drewna okrągłego na potrzeby rynku wewnętrznego, utrzymując, że wynosi ono plus minus 2.800.000 m³ rocznie — co wraz z ilością zużytą do wyprodukowania tarcicy eksportowej daje 5.060.000 m³ surowca przerabianego przez polskie tartaki.

Według oficjalnych danych statystycznych przetarto jednak w tartakach:

w roku 1935	6.415.000 m³
„ 1936	6.860.000 „
„ 1937	7.962.000 „

a w roku ubiegłym, sądząc ze statystyki zatrudnienia, około 8.500.000 m³.

Jak więc widzimy owe plus minus daje błędy idące w ładne parę milionów m³.

Równie frapująco wypadła w sprawozdaniu ocena zużycia papierówki określona dla lat normalnych na 500.000 m³ tj. około 667.000 mp.

Tymczasem papiernie i celulozownie w Polsce przerobiły:

w roku 1934	681.000 mp
„ 1935	707.000 „
„ 1936	841.000 „
„ 1937	927.000 „

a sądząc z danych o produkcji celulozy i papieru w roku ubiegłym, zużycie papierówki w kraju wyniosło w roku 1938 — 1.040.000 mp.

Pomyłka w ocenie zużycia papierówki wynosi więc z górą ćwierć mil. mp papierówki tj. około 40%.

Przykłady te starczą dla dyskwalifikacji sprawozdania, które niezależnie od tego, że pomija milczeniem sprawy najistotniejsze dla organizacji prywatnej własności leśnej, ostrzeliwuje nas przesadną ścisłością z jednej, a milionowemi pomyłkami w wyliczeniach — z drugiej strony.

Wydaje nam się że publikowanie danych, wprowadzających w błąd opinię publiczną, nie przystoi organizacji, na czele której stoją ludzie, biorący udział w życiu gospodarczym i politycznym, co jak wiadomo wymaga chociażby elementarnego, poczucia odpowiedzialności.

j. j.

JAK Z TYM BYDEŁKIEM?

Doprawdy, zacznę się gniewać. Znowu w „Kurierze Polskim" tania demagogia na tematy koniunkturalno - rolnicze. Cena żyta polskiego w Antwerpii waha się koło 9 zł za q, premie przy wywozie żyta wynoszą też 9 zł od q, cena żyta w Poznaniu 14.38 zł — przeszło 5 zł powyżej ceny światowej. A tu sobie pan S. M. z ironią laika, czy złośliwca pisze o słusznej opinii, stwierdzającej, iż „możliwość zwiększenia przychodu rolnictwa istnieje we wszystkich grupach artykułów rolnych z wyjątkiem... zboża i bydła" (w kropkach ironia), ponieważ ponoć (bo to też nieprawda), są to podstawowe i zasadnicze artykuły produkcji rolnej. (Kurier Polski z dn. 11 lutego „Właściwy postulat").

Otóż proponujemy panu S. M. za karę, aby napisał, skąd wziąć pieniędzy na premiowanie wywozu bydła, jak manipulować funduszem z opłat przemiałowych, aby przez wywóz podnieść ceny wewnętrzne na bydło rzeźne. Przecież sam p. S. M. twierdzi, że zboże i *bydło* to podstawowe i zasadnicze artykuły produkcji rolnej. W premiowaniu żyta doszliśmy do 100% premii ad valorem (nie licząc kosztów przewozu), skąd wziąć pieniędzy na 100% premii dla bydła? Zanim bowiem zaczniemy wyżej

jeszcze premiować wywóz żyta, czasby chyba zabrać się do drugiego podstawowego i zasadniczego artykułu, do bydła.

Ale jakim to sposobem, przez tyle lat nikt jakoś nigdy nie kwapił się premiować bydło rogate? Czyżby tu 100% premii jeszcze nie starczało? Starczać starcza — tylko, że to produkt par exellence chłopski, a więc niech tam jego ceny stoją, jak zechcą. Tak myślano przez lata i to nie tylko o bydle, ale o całym wywozie hodowlanym, ponieważ zainteresowanie obszarnictwa cenami hodowlanych artykułów zawsze z natury rzeczy było mniejsze. Gospodarstwa zbożowe interesują się zbożem!

Skoro jednak dzisiaj p. S. M. odważa się napisać, że „na odcinku cen artykułów rolnych, nic się niestety, nie dzieje", należy wyraźnie pokazać, jakie to sprężyny kazały martwić się za wszelką cenę poziomem cen żyta, a nie dbać o poziom cen bydła rogatego, tu rzucać dowolne premie, tam mieć kiesę zamkniętą na cztery spusty.

„Polityka rolna „prowadzi się" sama" woła pełen boleści p. S. M. Jakie szczęście, że nie jest prowadzona przez ludzi o poglądach p. S. M., że nie jest pełna przemyślanych posunięć, jak bronić kiesy obszarnictwa, nie zwracając uwagi na interesy całej wsi chłopskiej. Komu, jak komu, ale właśnie mnie, który tak ostro i zasadniczo występuje przeciwko obecnej polityce premii żytnich (patrz artykuł pt. „Apetyt chłopski" w Nr 22 „Gospodarki" z ub. r.), wolno chyba powiedzieć, że z możliwych polityk premiowania żyta w obecnym roku, polityka, obrana przez Ministerstwo Rolnictwa, jest z punktu widzenia interesów ogólnych rolnictwa najsłuszniejsza. Czy w szeregach zwolenników p. S. M., istnieje tak wielka tęsknota do interwencji z lat 1933 i 1934? Sądzę, że nie, że to raczej wzdrygające się z oburzenia serce kapitalisty, wobec perspektywy dalszego odłużenia rolnictwa, zmąciło krytycyzm do tego stopnia, że rzeczywistość postulowaną — niech rolnicy mają większe dochody — wzięło się za rzeczywistość realną. Zwykły błąd ludzi namiętnych.

st. z.

BENZYNA ITD.

W poszukiwaniu dróg rozwoju motoryzacji w Polsce najwięcej uwagi zwracało się dotychczas na cenę materiałów pędnych. Operowano tutaj twierdzeniem, że w Polsce benzyna jest za droga, co jakoby uniemożliwia szerszy rozwój ruchu samochodowego.

Czy tak jest w rzeczywistości? Spójrzmy na cenę benzyny w Polsce i za granicą, przy czem rozpatrzmy, jaką rolę w jej cenie odgrywają podatki państwowe oraz wszystkie pozostałe elementy, jako to: wartość towaru, koszty przewozu, koszty handlowe (wydatki eksploatacyjne), zyski przedsiębiorcy itd.

Cena w groszach za 1 l.
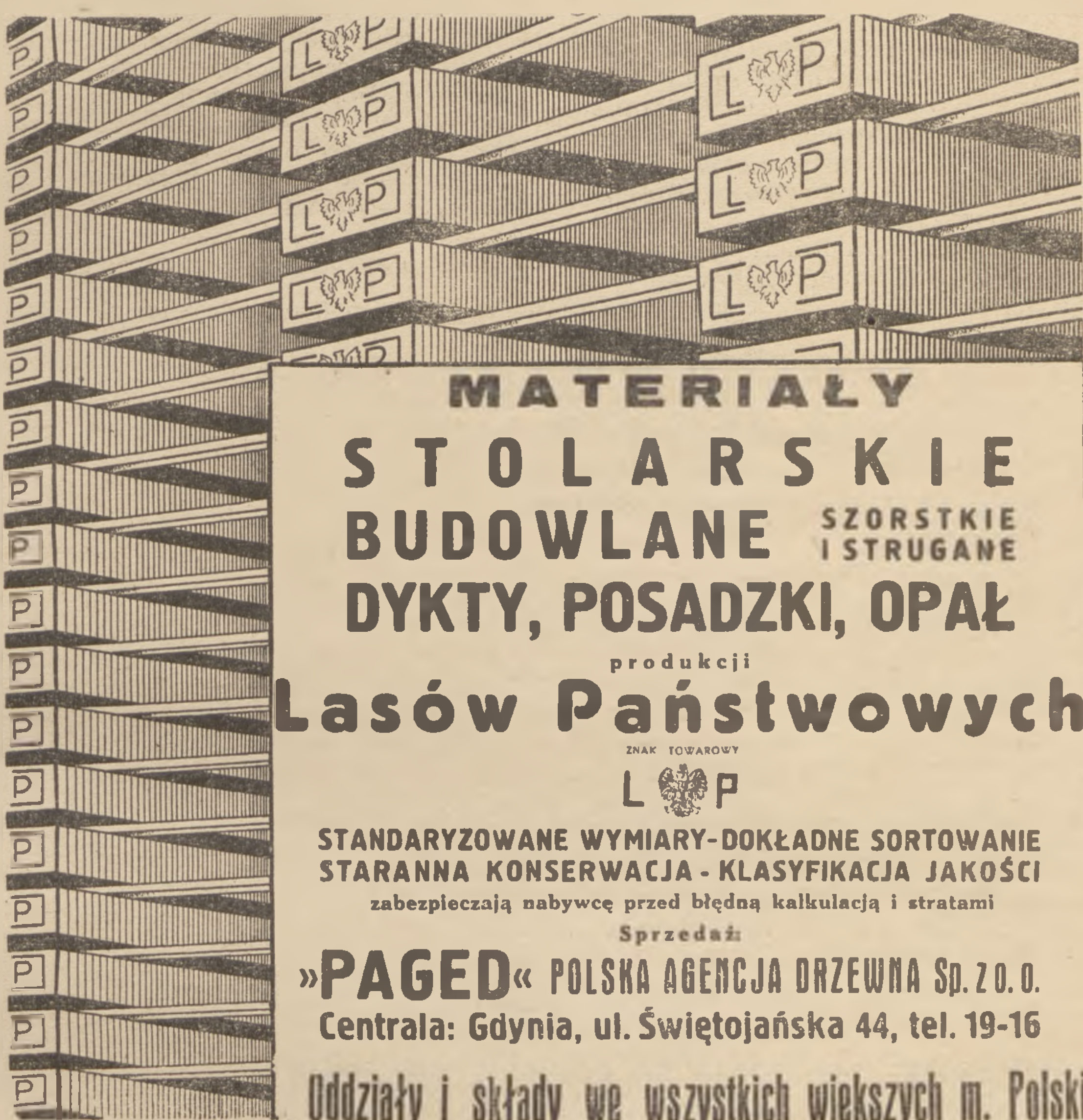
	ogółem	podatki	pozostałe
Stany Zjednoczone	27	8	19
Rumunia	36	15	21
Dania	36	16	20
Szwecja	36	14	22
Belgia	42	28	14
Francja	53	33	20
Polska	*58*	*16*	*42*
Czechosłowacja	64	33	31
Szwajcaria	75	40	35
Niemcy	85	42	43
Włochy	91	64	27

Z zestawienia powyższego wyraźnie wynika, iż cena benzyny w Polsce stanowi jak gdyby średnią cen wymienionych krajów, przy czem podatki państwowe są u nas na poziomie *dolnym* (nb. czterokrotnie niższe aniżeli we Włoszech).

Potanienie benzyny mogłoby nastąpić nie przez obniżkę dochodu kopalni i rafinerii, które otrzymują 25 gr. od litra, lecz raczej przez obniżkę frachtu kolejowego i kosztów handlowych sprzedawców benzyny. Można jednak wyrazić wątpliwość, czy byłyby to oszczędności w sumie wyższe od 5 groszy na litrze i czy przyczyniłyby się one do proporcjonalnego wzrostu ruchu samochodowego.

Dla potanienia kosztów motoryzacji niezbędne są posunięcia, dzięki którym wynajem garaży oraz ceny części i reperacyj byłyby wydatnie obniżone. Pod tym względem jesteśmy od takich np. Włoch drożsi bez przesady aż *trzykrotnie.*

br.


MATERIAŁY
STOLARSKIE
BUDOWLANE SZORSTKIE I STRUGANE
DYKTY, POSADZKI, OPAŁ
produkcji
Lasów Państwowych
ZNAK TOWAROWY
L P
STANDARYZOWANE WYMIARY - DOKŁADNE SORTOWANIE
STARANNA KONSERWACJA - KLASYFIKACJA JAKOŚCI
zabezpieczają nabywcę przed błędną kalkulacją i stratami
Sprzedaż:
»PAGED« POLSKA AGENCJA DRZEWNA Sp. z o. o.
Centrala: Gdynia, ul. Świętojańska 44, tel. 19-16
Oddziały i składy we wszystkich większych m. Polski

„UPRAWA MORZA".

Organ Morskiego Kolegium Ekonomicznego w Gdyni.

Na treść tego jedynego w Polsce czasopisma naukowego, poświęconego wyłącznie gospodarce morskiej, składają się w czterech kolejnych numerach za rok 1938 następujące opracowania:

Nr. 1.

St. Walewski:	Elementy polityki eksploatacyjnej morskich portów handlowych.
B. Żórawski:	Perspektywy rozwoju stosunków gospodarczych z Ameryką Łacińską.
J. Krajewski:	Międzynarodowe porozumienia i konferencje żeglugowe.
T. Bierowski:	Ustalenie zwyczajów portowych przy przeładunku w porcie gdyńskim.

Nr. 2.

M. Rylke:	Morski statek handlowy w prawie publicznym.
B. Porożyński:	Polski czarter węglowy.
T. Szmaj:	Kredyt warrantowy ze specjalnym uwzględnieniem Gdyni.
St. Pusłowski:	Zagadnienia robotnicze w Gdyni.

Nr. 3/4.

W. Grott:	O czynnikach rozwoju portu gdańskiego.
B. Koselnik:	Przesłanki ekonomiczne dla powstania targów międzynarodowych w Gdyni.
A. W. Zakrzewski:	Związki handlowe Polski z krajami bałtyckimi.
T. Szefer:	Walory tranzytowe portów Gdańska i Gdyni.
St. Grabski:	Uzupełniające ubezpieczenie przywozu.
T. Nowacki:	Gwarancje i uzupełnienia kredytów wywozowych, jako instrument pomocy handlowej w obrocie zamorskim.
M. Hauffe:	Ubezpieczenie kredytów wywozowych w Anglii.

Uzupełniają każdy numer recenzje najnowszych wydawnictw z dziedziny gospodarczo-morskiej oraz tzw. Aktualia, zawierające krótkie opracowania bieżących zagadnień.

Poza tem każdy numer zawiera obszerny dział bibliografii artykułów gospodarczo-morskich z czasopism polskich i zagranicznych.

Cena pojedyńczego egzemplarza zawierającego ca 100 stron druku wynosi zł 3.—, roczna prenumerata za 4 kolejne numery — zł 10.—.

Skład Główny — Instytut Wydawniczy „Biblioteka Polska" — Warszawa.

Redakcja i Administracja: Gdynia — ul. Świętojańska 23.

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.